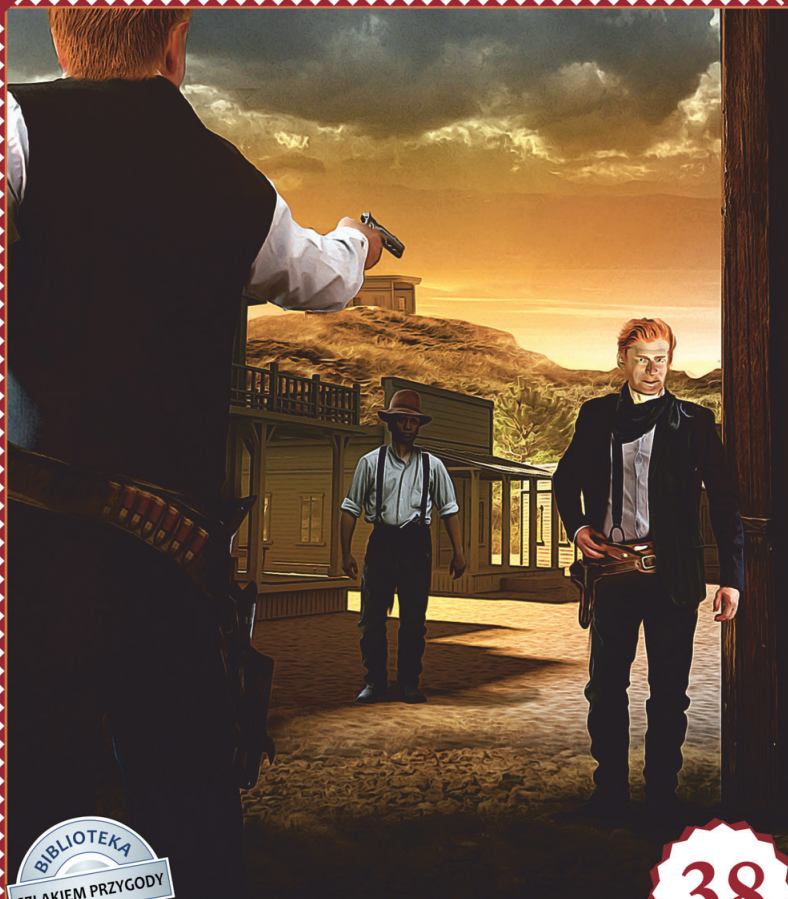




Max Brand
DONNEGAN



38

ISBN 978-83-66980-20-4

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

DONNEGAN



Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante we Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłośnik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

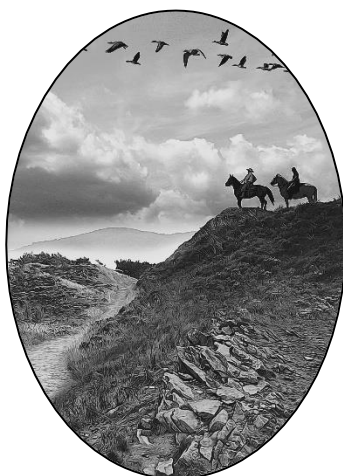
Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętą akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano tylko kilka jego powieści. W PRL w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarń po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



DONNEGAN

Przełożyła i przypisami opatrzyła Magdalena Kizeweter

**Dziewięćdziesiąta ósma publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty ósmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Donnegan

© Copyright for the Polish translation by Magdalena Kizeweter, 2022

17 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek, 2022

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Janusz Pultyn
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2022

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66980-20-4

Rozdział I

Dięćdziesiąt pustych wagonów towarowych tańczyło, toczyło się i grzechotało na twardym torze wypełniając Jericho Pass¹ grzmotem. Wielka lokomotywa trudziła się i sapała do utraty tchu, ale pięć wagonów za nią odgłosy te były mniej słyszalne. Można rozmawiać pomimo łoskotu pociągu towarowego, tak samo jak da się gwizdać pod silny wiatr. Należy tylko używać w wagonie tonu trochę wyższego od normalnego, można by rzec dodającego do rozmowy alikwoty², i wyraźnie nosowego. Zarówno hamulcowy³, jak i Lefty Joe⁴ umieli doskonale mówić podczas panowania takich hałasów. Znajdowali się mniej więcej w środkowej części pociągu, na dachu, na przedzie jednego z wagonów. Choć pociąg przechylał się i chwiało na niepewnym torze, obaj na swoich miejscach zachowywali równowagę równie lekko i bezpiecznie, co ptaki na huśtawkach w klatce. Hamulcowy poprosił Joego o dwa dolary i dostał pięćdziesiąt centów – Lefty przysiągł mu z przekonującą żarliwością, że to jedyne pieniądze, jakie posiadał. Teraz siedzieli obok siebie ramię w ramię i zabijali czas rozmową.

– Jak za dawnych czasów – powiedział hamulcowy. – Kiedyś widywało się ciebie na tej linii, jak jeździłeś od jednego wybrzeża⁵ do drugiego.

¹ *Jericho Pass* – przełęcz lub wąwóz Jerycho, Vermont.

² *Alikwoty* – składowa harmoniczna dźwięku o częstotliwości wyższej od tonu podstawowego.

³ *Hamulcowy* – kolejarz obsługujący hamulce pociągu.

⁴ *Lefty* – leworęczny, mańkut. Joe mógłby więc nazywać się „Mańkut Joe”, albo „Leworęczny Joe”.

⁵ *Wybrzeże* – chodzi o wybrzeża dwóch oceanów okalających Stany Zjednoczone, Atlantyckiego i Spokojnego.

– Jasne – odrzekł Lefty Joe spoglądając na góry po obu stronach wąwozu. Pociąg przyspieszał i rzędy nierównych, poszarpanych szczytów przesuwały się na wschód. – I wiele razy były to jazdy cholernie trudne.

– Dziwnie cię widzieć. Słyszałem, że dobrze ci się powodzi – ciągnął hamulcowy.

Rzucił okiem na Lefty Joego, ale jego twarz była ukryta w ciemności.

– Słyszałem, że teraz rządysz całą bandą – powiedział hamulcowy.

– Tak?

– A tak. Podobno masz się jak pączek w maśle i w ogóle.

– Czyżby?

– Ale pewnie to tylko takie gadanie. Przecież znów tu jesteś.

– No – zgodził się Lefty.

Hamulcowy podrapał się po głowie. Milczenie trampa¹ przekonało go, że w tych plotkach musiało być sporo prawdy. Przechylił się w drugą stronę zahaczając o Lefty'ego.

– Nigdy mnie specjalnie nie obchodziło, co mówią – zaręczył. – Znam cię, Lefty. Możesz wiele, ale kiedy gadali o rządzeniu przez ciebie całym gangiem, i wszystkim takim, wiedziałem dobrze, że to łgarstwo. I tak im powtarzałem.

– To źle powtarzałeś – wybuchnął nagle Lefty. – Wszystko było właśnie tak.

Na końcu tego zdania hamulcowy usłyszał zazgrzytanie zębów Lefty'ego, jakby ten pożałował swojej złości.

– Niech mnie powiesz – szepnął niewinnie.

Zazwyczaj Lefty nie dawał się łatwo wciągnąć w rozmowę, ale tego wieczora najwyraźniej miał ochotę mówić.

¹ *Tramp* – włóczęga, wędrowiec.

– Kennebec¹ Lou, Clipper² i Suds³. Oni i wielu innych. Wszyscy byli ze mną, wszyscy byli pode mną, byłem ich szefem!

Jakże zadźwięczał jego głos, gdy wypowiadał te słowa! W ten sam sposób pokonany generał mówi o swoich dawnych triumfach. Staremu hamulcowemu przypominały się czasy młodości. Był pod wrażeniem, kiedy powtarzał te trzy imiona.

– Nawet Suds? – zapytał. – Nawet Suds był z tobą?

– Nawet Suds!

Hamulcowy poruszył się nieco, kiwając się na obie strony i próbując przyjąć wygodniejszą pozycję. Zamiast patrzeć wprost przed siebie, bez przerwy zerkał w bok na swojego towarzysza i widać było, że zamierza zapamiętać wszystko co zostanie powiedziane tego wieczora.

– Nawet Suds – powtórzył. – Dobry Boże, czy nie był za twardy dla ciebie?

– Był twardy – odpowiedział Lefty Joe z naciskiem.

– Jak to?

– Już nie jest.

– Nie żyje?

– Nie. Wypadł z interesu.

Przed strawieniem tej nowiny, hamulcowy posmakował ją swoim rozmiłowanym w plotkach językiem.

– Załatwiłeś z nim sprawę po tym, jak cię zostawił?

– Nie.

– Pojmuję. Przyłapałeś go wtedy, kiedy jeszcze był z tobą. Potem Kennebec Lou i Clipper wkurzyli się na to, jak potrak-

¹ *Kennebec* – nazwa rzeki (długości 270 km) i hrabstwa w stanie Maine, położonym w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

² *Clip* – znaczy, między innymi, „obciąć”, „oberżnąć”. Clipper może więc być groźnie brzmiącym przezwiskiem dla kogoś, kto bezwzględnie postępuje z przeciwnikami.

³ *Suds* – po polsku „mydliny”, albo „piwo”, a *be in the suds* oznacza „być pijanym”, albo „znajdować się w kłopotach”.

towałeś Sudsa. Dlatego wróciłeś teraz na szlak, bo twoja banda się rozpadła. Nie masz łatwo, Lefty.

Lefty zareagował wściekłością na tę pochopną diagnozę swojego upadku.

– Kompletnie się mylisz – powiedział. – Kompletnie. Nic nie wiesz.

Hamulcowy czekał, uśmiechając się pewnie w ciemności i przygotowując do wysłuchania opowieści. Ale ową opowieścią było tylko jedno słowo rzucone gorzko w przepływające pędem powietrze.

– Donnegan!

– On? – zawołał hamulcowy podskakując na miejscu.

– Donnegan! – krzyknął Lefty, a ton jego głosu zamienił to słowo w przekleństwo.

Hamulcowy pokiwał głową.

– Ci, co mają do czynienia z Donneganem nie wytrzymują długo. Powinieneś był to wiedzieć.

Na te słowa cały żal, nienawiść i złość, które odczuwał Lefty Joe, skumulowały się w nim w mieszkankę wybuchową.

– Do diabła z Donneganem. Kim jest Donnegan? Pytam cię, kim jest Donnegan?

– Gościem, który sprawia kłopoty – odparł hamulcowy, przy czym znalezienie definicji wyraźnie sprawiło mu kłopot.

– Co ty nie powiesz? Do diabła z nim!

– Trzeba było trzymać się od niego z daleka, Lefty.

– Czy ja go szukałem, pytam się? Czy jestem wariatem? Nie, nie jestem. Czy depczę grzechotnikowi¹ po ogonie? Tak samo nie szukam Donnegana.

¹ *Grzechotnik* – jadowity wąż z rodziny żmijowatych; nazwę zawdzięcza grzechotce znajdującej się na końcu ogona, która wydaje szeleszczący, ostrzegawczy odgłos; na świecie żyją trzydzieści dwa gatunki grzechotników, w Ameryce Północnej jednym z najniebezpieczniejszych jest grzechotnik teksaski (*Crotalus atrox*), osiągają-

Jęknął na to wspomnienie.

– Dobrze sobie radziłem. Nie mogło być lepiej. Trzymaliśmy się razem z chłopakami. Tak dobrze sobie radziliśmy, że brakowało mi tylko ptasiego mleka i kręciłem się tu i tam planując robotę. Miła, czysta praca. Żadnych problemów. Ale jednego dnia miałem spotkać się z Sudsem w Meriton Jungle¹. Wiesz o czym mówię?

– Dużo słyszałem – powiedział hamulcowy.

– Nie jest tam tak źle, w Meriton. Widziałem o wiele gorsze rzeczy. Znalazłem tam Sudsa – grał w blackjacka² z jednym ramolem i nieźle go kantował. Jak miał dobry dzień, potrafił wyczyniać niesamowite rzeczy z kartami. To trzeba umieć i tak właśnie robił ze staruszką. Szybko go pokonał. Stary zabrał swoje karty i wyszedł bez słowa. Nie wyglądał dobrze. Zacząłem gadać z Sudsem. Kiedy mówił, nagle podchodzi jakiś gość i się nam przygląda. Poznał mnie i pyta:

„– Czy ten tu to twój koleżka, Lefty?”

– Pewnie – ja na to.

– No to wpadł po uszy. Załatwił staruszka, a ten jest jednym z kumpli Donnegan. Zaczekaj no, aż Donnegan się dowie jak twój kumpel żonglował kartami, kiedy oskubywał starego!”

Mrugnął do mnie i poszedł. Wkurzyło mnie to. Spojrzałem na Sudsa, ale temu głupkowi nawet nie drgnęła powieka. Nigdy przedtem nie słyszał o Donneganie. Wiesz jak to jest? Jedna połowa ludzi ze szlaku nigdy o nim nie słyszała, a druga połowa nie słyszała o niczym innym. Jest jak skaczące tornado³ –

cy do ponad dwóch metrów długości, który zamieszkuje południe USA i północną część Meksyku.

¹ *Meriton Jungle* – nazwa lokalu rozrywkowego, wymyślona przez autora powieści.

² *Blackjack* – oczko, gra karciana, w którą gra się przede wszystkim w kasynie.

³ *Tornado* – trąba powietrzna; słowo pochodzące od hiszpańskiego czasownika *tornar* – „kręcić się”. To samo tornado może atakować kolejno kilka miejsc położonych w pewnej odległości od siebie – wtedy właśnie „skacze”.

uderza co dziesięć mil, a pomiędzy tym nie zegnije nawet źdźbła trawy.

Powiadałem Sudsowi o Donneganie jakieś pięć minut. Potem Suds chrząknął i poszedł szukać staruszka, ale go nie znalazł. Ojczulek wyszedł już z Jungle i rozpląnął się w powietrzu. Suds wrócił zielonożółty na twarzy.

„– Zrobiłem to – powiedział. – Wpadłem po uszy.

– Mało powiedziane” – ja na to.

Zmyśliśmy się więc i ruszyliśmy w drogę tak szybko, jak się dało. Zebraliśmy resztę chłopaków. Wcześniej miałem nagrąną fajną robotę. Wszystko przepadło. A potem dowiedzieliśmy się, że Donnegan szuka Sudsa. Wieści spadły na nas nieoczekiwanie. Wiesz jaki jest Suds. Dobrze blefuje. Nawet nie mrugnął okiem. Śmiał się z Donnegana. Zmówił się ze starym kumplem. Ten jego Levine to twardy zawodnik i w bójce umie posłużyć się wszystkim, od noża do paznokcia u stopy. Suds posłał go tropem Donnegana. Faktycznie się spotkali. Parę dni później Suds dostał telegram z informacją, że Levine wpadł na dzikie zwierzę¹ i jest nieźle poharatany oraz pytaniem, czy Suds zechciałby zapłacić za doktora. Po tym wszystkim Suds zrobił się jakby nerwowy. Nie interesował się już robotą, tylko z niepokojem czekał na przyjscie Donnegana i dość szybko zmył się z naszej meliny. Następnego dnia, no oczywiście, pojawia się Donnegan i pyta o niego. Wszyscy siedzimy cicho, ale nie Kennebec Lou. Kennebec też jest dobry w walce. Dwieście funtów² twardych mięśni i zawiadujący nimi przebiegły mózg – tak, można postawić dziesięć do jednego, że Ken-

¹ W oryginale: *wild cat* – określenie, które może oznaczać występującego w Ameryce Północnej ocelota, rysia kanadyjskiego, albo rysia wielkiego – wszystkie one to niezbyt wielkie drapieżne ssaki z rodziny kotowatych, w slangu także zabijaka.

² *Funt* – jednostka masy równa 0,45 kilograma, zatem dwieście funtów to niewiele ponad 90 kilogramów.

nebec nie daje sobie w kaszę dmuchać. Tego dnia był w dobrej formie po butelce bimbrowa z żyta, który próbował dla przyjaciela. Nie musiał się specjalnie trudzić, żeby zadrzeć z Donneganem. Mrugnięcie oka i wyszczerzone zęby wystarczyły za hasło, zanim rzucili się sobie do gardeł. Zaczął Kennebec i wszystko, co trafił, to powietrze, a zanim się podniósł, Donnegan uderzył go cztery razy. Wtedy Kennebec odskoczył i zaczął od nowa, tym razem z nożem.

W tym miejscu Lefty Joe przerwał i westchnął, aby kontynuować po długiej przerwie:

– Pięć minut później wszyscy zszywaliśmy to, co zostało z Kennebeca, a Donnegan oddalił się pogwizdując wesoło. I to był koniec mojej paczki. Bez Kennebeca Lou i Sudsa, jakie miałem szanse na utrzymanie chłopaków razem?



Rozdział II

Hamulcowy słuchał tej historii z najwyższym zainteresowaniem, od czasu do czasu kiwając głową.

– Zdumiewa mnie, Lefty – odezwał się, gdy opowieść dobiegła końca – że podczas tej bójki sam nie chwyciłeś noża i nie wystartowałeś do Donnegana.

Lefty odpowiedział milczeniem. Zapadła cisza wyrażała raczej zwątpienie w sens mówienia czegokolwiek niż potrzebę zebrania myśli, aby coś powiedzieć.

– Stary, powiem ci dlaczego. Dlatego, że podobna sytuacja mogła się zakończyć w jeden tylko sposób – albo ja załatwiłbym jego, albo on mnie.

Hamulcowy odchrząknął.

– Posłuchaj – oznajmił. – Wydaje mi się dziwne, że jesteś w tym pociągu.

– Tak? – zapytał spokojnie Lefty. – A dlaczego?

– Bo Donnegan śpi dwa wagony dalej.

– Jak to, do cholery?

Hamulcowy zaczął się śmiać.

– Nie oszukuj siebie – powiedział ostrzegawczo. – Nie rób tego. To niemądre. Nie ze mną.

– O co ci chodzi?

– Daj spokój, Lefty. Bądź ze mną szczery. Lepiej zmykaj z tego pociągu.

– Niby czemu...?

– To nie przejdzie, Joe. Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem po co tu jesteś. Wiedziałem, że chcesz zaciukać Donnegana.

– Ja? Zaciukać Donnegana? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo ścigasz go przez dwa tysiące mil¹. Dlatego, że nie masz odwagi, żeby spotkać się z nim twarzą w twarz, i musisz zaskoczyć go we śnie. Taki już jesteś, Lefty Joe!

Hamulcowy zobaczył, że Lefty przechyliła się w jego stronę, ale inaczej niż w opowieściach, trzeba być bardzo odważnym włóczęgą, aby wdać się w spór z jakimkolwiek hamulcowym. Nawet Lefty Joe powstrzymał się od użycia przemocy. W ciemności było widać drżenie jego górnej wargi, ale głos pozostał ostrożnie wyważony.

– Nic nie wiesz, kolego – oświadczył.

– Czyżby?

– Nic – powtórzył Lefty.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś, co zaszeleściło w podmuchu wiatru. Przez chwilę poruszał się niespokojnie i ostatecznie włożył kawałek papieru w dłoń hamulcowego.

– Mój Boże – wycedził tamten. – Myślisz, że dolcem możesz załatwić ze mną taką sprawę? Nie przekupisz mnie, że bym milczał, kiedy będziesz załatwiał Donneganą. Tak się nie da, Lefty.

– Powiedziałaś dolcem?

Lefty Joe pomimo ostrego wiatru wprawnie zapalił zapalkę. W rzucanym przez nią migotliwym świetle hamulcowy zachłysnął się na widok banknotu. Zmarszczywszy czoło zdążył dostrzec wyraz szyderstwa na twarzy Lefty'ego, zanim wiatr zdmuchnął płomień.

Przekroczyli najwyższy punkt Jericho Pass i teraz długi pociąg toczył się w dół z niesamowitą prędkością. Wiatr zamienił się w huragan. Dla hamulcowego nie było to jednak nic szczególnego – normalny, spokojny wieczór. W jego głowie toczyła

¹ *Mila* – jednostka odległości równa 1609 m; dwa tysiące mil to nieco ponad trzy tysiące kilometrów; możliwe, że tu użyto tej liczby przenośnie.

się gonitwa myśli. Kiedy sięgnął pamięcią odpowiednio daleko wstecz, przypominał sobie dolara otrzymanego od Donnagana i to, że obiecał ostrzec go, jeżeli cokolwiek będzie nie tak. Myślał o tym, ale w jego prawej dłoni szeleścił banknot, którego wartość już znał, a wartość ta wgryzała się w jego wspomnienia, w jego umysł.

Kim w końcu był dla niego Donnegan? Czy nie był tylko bezwartościowym włóczęgą? Pozostawiając to ostatnie pytanie bez odpowiedzi, hamulcowy podniósł się i ruszył wzdłuż pociągu.

Lefty obserwował go ze śmiechem. Cichym śmiechem. W najcichszym pokoju śmiech ten nie byłby głośniejszy niż przeciągłe, słabiutkie syczenie. Teraz on ruszył się z miejsca i przeszedł wzdłuż pociągu w kierunku odwrotnym do tego, w którym zniknął już hamulcowy.

Poruszał się sprawnie, przeskakując z wagonu na wagon z małpią zręcznością i pewnością. Dwa wagony dalej. Sięgnięcie do przesuwanych drzwi w ścianie bocznej stanowiło nie lada wyzwanie. Było ciemno i pociąg podskakiwał gwałtownie na starym torze, Lefty miał więc trudne zadanie do wykonania, ale dobrze sobie z nim poradził, wykorzystując tę samą małpią zręczność. Umiał używać stóp tak samo efektywnie jak rąk i na wąskim gzymsie czuł się równie swobodnie jak na szczelbku drabiny.

Udało mu się od góry delikatnie odblokować drzwi i mógł je otworzyć. Nadal jednak włóczęga działał z ogromną rozważą. Wykorzystywał kołysanie pociągu i z każdym szarpnięciem wagonu przesunął drzwi odrobinę, aby wydawało się, że otwierają się tylko za sprawą ruchu pociągu.

Gdyby bowiem Donnegan obudził się z twardego snu i zauważył poruszające się drzwi, ich otwarcie się w jednym ruchu

wzbudziłoby w nim podejrzenia, ale jeśli by otwierały się stopniowo, musiały być wręcz chorobliwie podejrzliwe, żeby zwierzyć niebezpieczeństwo. Joe poświęcił więc na tę operację całe pięć minut.

Kiedy skończył, odczekał około pięciu kolejnych, może żeby zobaczyć czy drzwi nie zostaną zamknięte. Kiedy okazało się, że nic się nie dzieje i pozostają otwarte, wiedział, że Donnegan śpi.

Teraz nadszedł czas na działanie i Lefty Joe przygotował się na wejście do jaskini wroga. Nie czekał jednak na to z niepewnością czy lękiem, uczuciami, jakich można byłoby spodziewać się po człowieku, który właśnie zamierzał zamordować śpiącego przeciwnika. Ani trochę ich nie doznawał. Był raczej niesamowicie szczęśliwy. Mógłby śpiewać z wszechogarniającej radości na myśl o tym, że za chwilę pozbędzie się tego szkodnika.

Jego banda została rozbita, to prawda. Ale może znów się odrodzić. Donnegan spadł na nią jak zaraza. Ale jeśli nie będzie już Donnegana, czy Suds nie wróci natychmiast do bandy? Czy Kennebec Lou nie dołączy znów do Joego, podziwiając go za to, że dokonał tego, czego jemu się nie udało? A z tym dwoma jako jądro bandy, Joe może bardzo ją rozbudować!

Lefty'emu trzeba oddać sprawiedliwość. Podchodził do tego morderstwa tak jak mąż stanu odnosi się do usunięcia wroga zagrażającego dobru publicznemu. Nie było w nim już urazy – odczuwał raczej w sercu błogą radość, jaka towarzyszy politykowi ujawniającemu skandal, który zniszczy karierę jego rywala.

Uśmiechając się spokojnie jak dziecko, Lefty leżał wyciągnięty na dachu wagonu i wybierał broń, której użyje. Zwykle jego naturalnym wyborem był rewolwer, z którym świetnie da-

wał sobie radę i w dniu i w nocy. Jednak miał powód, aby tym razem zmienić zasady. Po pierwsze, wagon kolejowy przechylający się i szarpiący, kołyszący się z boku na bok, nie był najlepszym miejscem na strzelanie, nawet dla takiego rewolwerowca jak Lefty Joe. Poza tym panująca w wagonie ciemność była kolejną przeszkodą dla celnego strzału. A po trzecie, i najważniejsze, gdyby chybił za pierwszym razem, mógłby nie zdążyć strzelić po raz drugi. Donnegan był znany z celności. Co prawda mówiono, że rzadko miał przy sobie broń, bo jeśli już tak się zdarzało, zawsze za mocno korciło go, aby jej użyć. Istniała więc duża szansa, że i tym razem nie będzie uzbrojony. Gdyby jednak miał rewolwer, a Lefty chybił za pierwszym razem, sprawa zakończyłaby się dla niego szybko i źle.

Z drugiej strony, zalety noża były zbyt liczne, aby je wymieniać. Świadomość, że trzyma się w dłoni zaostrzony kawałek stali, daje niesamowitą pewność siebie, a kiedy nóż dosięga celu, potyczka kończy się jednym ciosem.

Oczywiście, wszystkie te wątpliwości i rozważania za i przeciw nie zajęły Joemu więcej czasu niż potrzebuje pies, aby przebudzić się, kłapnięciem pyska odgonić muchę i ponownie zapaść w sen. Ostatecznie zdecydował się na nóż. Nosił go w futerale zawieszonym na jedwabnej taśmie zapętlonej na szyi i zawsze trzymał blisko serca. Ostrze wykonano z najlepszej hiszpańskiej stali, w czasach, gdy hiszpańscy kowale umieli kuć stal cienką jak papier. Rękojeść pochodziła z Mediolanu. Była to delikatna i piękna broń – trwała i sprężysta jak sama nienawiść.

Lefty Joe, niczym pirat z powieści, wziął nóż w zęby, zwiesił z dachu ciężar swego pękatego ciała, rozkołysał się nieco i miękko wylądował na podłodze wagonu.



Lefty Joe, niczym pirat z powieści, wziął nóż w zęby.

Kto z nas nie słyszał odgłosu śniegu spadającego z gałęzi na zaśnieżone podłoże? Tak właśnie Lefty Joe opadł na podłogę wagonu. Pozostał w pozycji, w której wylądował – przykucnięty i czujny, z jedną ręką opartą o podłogę, aby zapewnić sobie równowagę i możliwość odbicia się, na wypadek gdyby chciał skoczyć w którymkolwiek kierunku.

Następnie zaczął w każdym kierunku przebijać wzrokiem otaczającą go ciemność, z każdym spojrzeniem wyciągając nieco szyję, jak kurczak dziobiący wymaginowane ziarno. W końcu upewnił się, że jego ofiara leży na przednim końcu wagonu, a on, Lefty, osiągnął już dziewięćdziesiąt procent tego, co zamierzał – dostał się niepostrzeżenie do kryjówki wroga.



Rozdział III

Domimo wszakże pomyślnego wykonania ważnej części zadania, Lefty Joe nie zamierzał w czasie działania tracić czujności. Ryk pociągu mógłby zagłuszyć odgłosy dziesięć razy głośniejsze niż te, które Joe wydawał skradając się, a jednak sunął do przodu z taką ostrożnością, jakby kroczył po starych schodach w cichym domu. Przed sobą widział niewyraźny cień Donnagana, ale to, w którą stronę zmierzać, wiedział przede wszystkim dzięki temu szczególnemu wyczuciu kierunku, jakie posiadają niektórzy ludzie, kiedy poruszają się w przyćmionym świetle. Jest ono, naturalnie, bardzo dobrze rozwinięte u ślepców, ale nawet ludzie widzący mogą nauczyć się ufać temu dziwnemu zmysłowi kierunku.

Z jego pomocą Joe powoli i spokojnie pokonał pierwszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi. Wydostał się z tła prostokąta otwartych drzwi wagonu, gdzie słaba poświata z zewnątrz mogłaby uczynić jego sylwetkę widoczną. Teraz było mu już łatwiej.

Oczywiście, gdy tylko znalazł się na podłodze wagonu, przełożył nóż z zębów do lewej ręki i poruszając się naprzód, ostrożnie ważył go w ręku, jak gdyby wciąż nie był pewien jego ciężaru. Przypominał boksera w ringu, który nieprzerwanie porusza sprawnymi, gotowymi pięściami, tak jakby obawiał się, że inaczej straci z nimi bliski kontakt.

Podejście do celu zajęło mu ułamki sekund. Teraz Lefty Joe uniósł się powoli. Pochylał się bardzo daleko do przodu i ubezpieczał przed trzęsieniem wagonu wyciągając prawą rękę blisko podłogi. Trzymając nóż w lewej dłoni, zaczął napinać mięśnie

przed atakiem. Wcześniej wykonał już ostatni ruch przygotowawczy – przechylił się nieco na prawo i przeniósł cały ciężar ciała na prawą stopę. Jego ciało było dosłownie zawieszona w pół skoku, zwinnego niczym u kota, gdy cień Donnégana ożył.

Cień ów zadrgał, tak jak wirują odbicia na powierzchni wody w sadzawce, gdy wrzuci się do niej kamień, i kawałek deski długi na dwie stopy¹ i szeroki na jakieś osiem cali² rozłupał się na pizszczelach Joego.

Była to chyba najmniej spektakularna broń, jaką można było wybrać w tych warunkach, ale z pewnością żadna inna nie zniweczyłaby tak doszczętnie planów przeciwnika. Zamiast rzuć się do przodu niczym zwarta bryła zakończona ostrzem noża, Lefty czołgał się jak głupi na kolanach, a ręką trzymającą broń musiał się podeprzeć do zachowania równowagi.

To osobliwe, jak ważna dla człowieka jest równowaga. Zwierzęta z reguły walczą tak samo dobrze niezależnie od tego czy leżą na plecach, czy stoją na nogach. Mogą kąsać przewrócone na bok, potrafią atakować pazurami nawet kiedy są w trakcie skoku. Człowiek natomiast potrzebuje do działania pewności postawy i równowagi. Czym jest szybkość boksera? Nie tyle zależy od mięśni, ile od możliwości mózgu do błyskawicznego zaadaptowania się do każdego nowego ruchu i wprowadzenia ciała w stan równowagi. W ringu szybkość nie oznacza umiejętności wymierzenia jednego błyskawicznego ciosu. Chodzi raczej o to, że po jednym uderzeniu, zawodnik jest w stanie zadać następne, a potem kolejne, tak że niezależnie od tego gdzie zostanie rzucony impetem swego ostatniego natarcia, jest gotowy na powrót zamknąć całą swoją siłę w pięści i skierować ją precyzyjnie w słaby punkt na ciele rywala. Pojedyncze ruchy

¹ *Stopa* – anglosaska jednostka długości równa 30,48 cm.

² *Cal* – anglosaska jednostka długości, jedna dwunasta stopy, równa 2,54 cm.

mogą być powolne, ale w serii nabierają prędkości. Dlatego wybitni bokserzy wydają się hipnotyzować przeciwnika za pomocą ruchów, które widownia postrzega jako bardzo spokojne, powolne i pewne.

Lefty nie był zręczny, ale miał zwierzęcy zmysł równowagi. Powalony na podłogę i bezradny, widział jak drgający cień Donnegan przybiera formę wyprostowanej, wznoszącej się ponad nim sylwetki. Joe wbił lewy łokieć w podłogę wagonu, odkręcił się na plecy i podkulił wysoko kolana. Istniało dziewięćdziesiąt procent szans, że gdyby Donnegan rzuciłby się płasko całym ciałem na czujnego wroga, kolana Joego zadałyby mu cios w żołądek, co natychmiast wyeliminowałoby go z gry. Jednak w podskakującym, kłękającym wagonie, nawet Donnegan był zdolny popełnić błąd. W tym przypadku błąd uratował mu życie, ponieważ za długi skok spowodował, że zamiast osiągnąć gardła Joego, wylądował piersią na jego kolanach.

W wyniku tego zderzenia, Donnegan błyskawicznie przekoziółkował nad przeciwnikiem i potoczył się dalej wzdłuż wagonu. Lefty skoczył na nogi i dosłownie w mgnieniu oka rzucił się za turlającym się kształtem – tylko zakolysanie wagonu, które zachwiało jego ciałem w momencie wymierzania ciosu, uniemożliwiło mu wbicie noża w ciało nieprzyjaciela. Za chwilę Donnegan był już poza jego zasięgiem. Uderzył w ścianę wagonu i odbił się od niej jak gumowa piłka. Wślizgnął się w cień, na co Lefty, sam przyciskając się do ściany, poszukał rewolweru i zorientował się, że przegrał. Nie powiódł mu się pierwszy niespodziewany atak, a teraz bez możliwości wykorzystania zaskoczenia, było już po nim. Zważył broń w dłoni i zdecydował, że użycie jej byłoby szaleństwem, bo jeśli chybi, błysk strzału wskaże go Donneganowi, który podziurawi go jak sito.

Coś przemknęło przy otwartych drzwiach, coś zamigotało niewyraźnie i Lefty Joe zrozumiał, że to ruda głowa Donne-

gana. Donnegana, stąpającego cicho niby cień wśród cieni. Donnegana, który wyczuł krew. Serce Joego zwolniło, niesamowicie obniżył mu się puls. W tej chwili opuściła go nadzieja i pogodziwszy się z tym, że umrze, postanowił walczyć do ostatniego tchu, jak przystało na człowieka o jego reputacji, znanego na cały kraj króla wszystkich szlaków.

Lefty Joe nie był pospolitym człowiekiem i nie był pospolitym zabijaką. Nie. A Rusty¹ Dick, którego Lefty spotkał i pokonał, kiedy ten był w szczytowej formie? Niech jego duch zjawi się tu i zaświadczy o umiejętnościach Joego. To właśnie dlatego, że sam był tak dobry, zdawał sobie sprawę z tego, że w rękach Donnegana jest bez szans.

Słaby kolorowy błysk minął drzwi wagonu i natychmiast rozpląnął się w głębokim cieniu, czemu nie towarzyszył żaden dźwięk. Lefty wiedział, że Donnegan jest coraz bliżej.

Był też coraz bardziej pewien jednej rzeczy – Donnegan nie miał przy sobie rewolweru. W przeciwnym razie już by go użył. Czymże była ciemność dla tego diabła? Poruszał się jak kot i zapewne jak kot widział w mroku. Lefty instynktownie osłonił się, unosząc prawą rękę na wysokość piersi, a w lewej ściskając nóż, jak człowiek przygotowujący się na atak pantery. Zaczął nawet wpatrywać się w ciemność z osobliwą nadzieją, że może ujrzy błysk oczu Donnegana ruszającego do ataku. Gdyby w wagonie można było cokolwiek dostrzec, Donnegan byłby skończony. Wystarczyłby jeden cios.

Ale sam diabeł nauczył swojego pupilka Donnegana jak się walczy. Donnegan nie rzucił się naprzód, aby spotkać się z ostrzem noża. Zamiast tego, podkradł się po podłodze, aby teraz skoczyć na Joego i złapać go w pasie.

¹ Rusty – „zardzewiały”, „rdzawy”; w odniesieniu do koloru włosów: „rudy”.

Lefty'emu wydało się, że pochwycił go tuzin rąk. Walczył jak wściekły, wrywał się, ale gonila go cała gromada dłoni. To były małe dłonie. Tam gdzie się zaciskały, darły jego ubranie i wbijały się w ciało. Jedna złapała go za gardło, a gdy się wyszarpnął, poczuł się tak, jakby w pięciu miejscach przypalono go żelazem rozpalonym do czerwoności. Przez cały czas dźgał nożem – raz przedarł nim ubranie, ale ani razu nie udało mu się dosięgnąć celu. Pół sekundy później Donnegan znów go chwycił. Musiał naprowadzić go błysk ostrza, w chwili gdy Lefty uniósł go. Donnegan wsunął prawą rękę za lewe ramię przeciwnika i unieruchomił jego nadgarstek. W ten sposób uzbrojona ręka stała się bezbronna, a nacisk ciężaru ciała Donnegana był dla Joego ogromną torturą.

Przez chwilę obracali się w miejscu, a potem upadli na podłogę i Lefty znalazł się na górze. Ale tylko na moment. Donnegan wykorzystał siłę, która rzuciła go na ziemię, aby przekręcić Joego na plecy i natychmiast złapał go lewą ręką za gardło.

Dwa razy, z wielkim wysiłkiem, Lefty próbował się wyswobodzić, ale potem się poddał. Jego ciało było oplątane rękami i nogami Donnegana, jak żelaznymi obręczami zaciskającymi się z niesamowitą siłą. Morderczy uścisk na gardle wysysał życie z Joego. Raz spróbował zagłębić zęby w ramieniu Donnegana. Raz, kiedy dotarła do niego groza sytuacji, spróbował krzyknąć o pomoc. Udało mu się jedynie wydać z siebie okropny łkający szep. A później, spoglądając śmierci w twarz, Lefty pogrążył się w ciemności.



Rozdział IV

Kiedy się ocknął, natychmiast wrócił do pełni władz umysłowych. Znajdował się przy otwartych drzwiach wagonu i to powiew nocnego powietrza pomógł mu odzyskać przytomność. Przywrócony do życia Lefty tylko trochę się zdziwił, że tego życia mu nie odebrano. Być może zwycięzca walki oszczędził go, aby później zabić po bezwzględnych indiańskich torturach. Ostrożnie pomacał wokół siebie i po sobie, i odkrył nie tylko, że może swobodnie poruszać rękami, ale również, że nie odebrano mu rewolweru. Na piersi czuł znajomy ciężar – nóż wrócił do pokrowca. Czy Donnegan oddał mu te rzeczy żeby pokazać, jak bardzo pogardza swoim wrogiem?

– Nie ma go! – wyjącał Joe, szybko podnosząc się do pozycji siedzącej.

– Ależ jest – opowiedział głos, z łatwością przebijający się przez ryk pociągu. – Czekam na ciebie, Lefty.

Włóczęga znów się zdumiał. Czy jednak kiedykolwiek istniał ktoś, kto potrafiłby pojąć, czym kieruje się Donnegan?

– Donnegan! – nagle zawołał zawadiacko.

– Tak?

– Jesteś głupcem!

– Bo?

– Bo nie skończyłeś roboty.

Donnegan zaczął się śmiać. W hałasie, który panował w pociągu, nie dało się tak naprawdę usłyszeć tego dźwięku, ale Lefty wychwycił jego drganie. Pomacał się po posiniaczonej szyi – przetykanie było dlań trudne i bolesne. Naszło go trudne do opisanie uczucie, kiedy uświadomił sobie, że oto uzbrojony

po zęby siedzi w odległości jarda¹ od człowieka, którego chce zabić, a mimo to jest tak bezradny, jakby na rękach i nogach miał żelazne okowy. Przez drzwi wpadła nocna poświata i teraz mógł zobaczyć smukły zarys sylwetki Donneganana i znów dostrzegł ten niewyraźny błysk rudych włosów – z cieniatego kształtu emanowała szczególna moc, pozbawiająca Lefty’ego wszelkiej siły.

Mimo wszystko kontynuował złośliwie:

– Prędzej czy później dorwę cię, Donnegan!

Ruda głowa Donneganana poruszyła się i Lefty Joe poznał, że młody człowiek znowu się śmieje.

– Dlaczego chcesz mnie dorwać? – zapytał wreszcie.

Dla Lefty’ego była to kolejna zniewaga. Przez chwilę siedział ogłupiały, mrugając jak sowa.

– Dlaczego? – powtórzył, a jego zdumienie było szczere. – Dlaczego chcę cię dorwać? – powiedział jeszcze raz. – A co, do diabła, czy nie jesteś Donneganem?

– Jestem.

– Chyba wszyscy wiedzą, że ja chcę dorwać cię, a ty mnie.

– Wszyscy mają źle w głowie. Nic do ciebie nie mam.

Lefty aż się zakrztusił.

– Może mi się to śniło. Może nie rozwaliłeś całego gangu? Może nie załatwiłeś Sudsa i Kennebeca?

– Suds? Kennebec? Coś tam pamiętam, że się spotkaliśmy.

– Coś tam?! Ty diable! – wypluł z siebie Lefty Joe. – Po tym jak załatwiłeś moich ludzi, czy to nie normalne i sensowne, że w następnej kolejności spróbujesz wziąć się za mnie?

– Tak się wydaje.

– Ale postanowiłem cię uprzedzić. Wszedłem ci w drogę, Donnegan, i zanim z niej zejdziesz, poznasz mnie o wiele lepiej.

¹ *Jard* – jednostka długości wynosząca trzy stopy, równa 91,44 cm.

– Ostrzegasz mnie?

– Teraz zagrałeś ze mną uczciwie, więc i ja zagram uczciwie. Następnym razem nie popełnię żadnych błędów, Donnegan. Tak czy siak, nie wiem, dlaczego się mnie uczepliłeś. To chyba po prostu twoja diabelska natura.

– Nie uczepliłem się ciebie – odparł Donnegan.

– Co takiego?

– Masz na to moje słowo.

Lefty Joe poczuł mrowienie w żyłach. Gdzieś kiedyś słyszał plotki, że słowo Donnegana jest warte tyle samo co złoto. Teraz to sobie przypomniał, a swego rodzaju godność w sposobie, w jaki Donnegan wygłosił swoje zapewnienie, dodała powagi całej sytuacji. Z reguły włóczędzy składając obietnice przysięgają na przeróżne świętości, ale w przypadku tego księcia szlaków wystarczało samo słowo. Lefty Joe był pełen podziwu.

– Chcę tylko wiedzieć – oświadczył – dlaczego śledziłeś moich ludzi, skoro nie chciałeś dostać mnie.

– Nie śledziłem ich. Na Sudsa wpadłem przypadkiem. Wynikły z tego kłopoty. Potem był Levine. A potem Kennebec Lou próbował rzucić się na mnie.

W ton Donnegana wkradła się nuta wyrzutów i niezadowolonia.

– Jakoś tak już jest, że gdzie się nie pojawię, tam wybuchają bójki – powiedział. – Po prostu bójki nie chcą się ode mnie odczepić.

Lefty Joe prychnął.

– I nie miałeś żadnych złych zamiarów, kiedy to „przypadkiem” wpadłeś na trzech moich chłopców po kolei?

– Żadnych.

Zniecierpliwiony Lefty kiwał się w tył i w przód.

– Dlaczego wszędzie łąsisz? – zapytał z pretensją. – Dlaczego nie wytyczasz sobie własnego terenu i nie trzymasz się jego?

Wchodzisz wszystkim w drogę. Nie ma już spokoju, odkąd się pojawiłeś. Ktoś ci to zlecił? Nie obowiązują cię żadne zasady?

Donnegan zaczekał chwilę, zanim odpowiedział. A kiedy przemówił, brzmiał inaczej niż do tej pory. Miał tę nadzwyczajną umiejętność zgrania tonu głosu z rykiem pociągu, ustawienia go powyżej lub poniżej hałasu i nadania mu takich cech, na jakie miał ochotę.

– Jestem na tropie, ale nie na twoim – przyznał w końcu. – Od dwóch lat jestem na tropie, ale do tej pory bez żadnego skutku.

– O kogo chodzi?

– O człowieka z rudymi włosami.

– To faktycznie wiele mi mówi.

Donnegan nie odpowiedział.

– Co masz do niego? Nie podoba ci się kolor jego włosów?

Lefty ryknął śmiechem, rozbawiony swoim mało oryginalnym żartem.

– Mniejsza o to – odparł Donnegan. – Nigdy nie trafię na jego ślad.

– Chcesz powiedzieć, że całe dwa lata szukasz człowieka, który nie zostawia żadnych śladów? – wtrącił Lefty.

Cisza, która zapadła, wystarczyła za odpowiedź twierdzącą.

– I nikt nie umiał cię naprowadzić? – kontynuował nadzwyczaj zainteresowany Lefty.

– Nikt. Widzisz, trudno go opisać. Rude włosy to jedyna wskazówka. Ale jeśli ktokolwiek zobaczyłby go bez koszuli, zapamiętałby znamię w kształcie dużej plamy na lewym ramieniu.

– Hę? – burknął Lefty Joe i dodał: – Jak się zowie?

– Nie wiem. Zmienił przezwisko, kiedy wyruszył na szlak.

– Kim jest dla ciebie?

– Człowiekiem, którego zamierzam znaleźć.

– Wszystko jedno, dokąd zaprowadzi cię trop?



Wyciągnął nawet rękę, aby podtrzymać chwiejącą się postać,
ale Donnegan runął prosto w ciemność nocy.

– Wszystko jedno.

Na to Lefty, nie wiedzieć czemu, wybuchnął śmiechem, homeryckim rechotem¹, który autentycznie nadwyrężył mu płuca. Kiedy wreszcie otarł łzy z oczu, cień po przeciwnej stronie drzwi zdążył już zniknąć. Teraz jego towarzysz pochylał się nad nim i tym razem Joe dostrzegł słaby blask gwiazd na jego włosach i w oczach.

– Co wiesz? – zapytał Donnegan.

– Kim jest dla ciebie ten ptaszek ze znamieniem i rudymi włosami? – zaindagował ostrożnie Lefty.

– Co wiesz? – nie odpuszczał Donnegan.

Nagle ogarnął go gniew i mocno zacisnął dłoń na ramieniu większego mężczyzny, wbijając palce w obojczyk.

– Co wiesz? – zapytał po raz trzeci, a w głosie Lefty’ego nie było już śladu wesołości, gdy odpowiadał.

– Ty głupcze, jeśli pójdziesz tym tropem, trafisz do piekła. To Rusty Dick, a on nie żyje!

Znów rozległ się triumfujący śmiech Joego, ale Donnegan szybko go uciął.

– Rusty Dick to ten, którego zabiłeś!

– Pewnie. I co z tego? Walka była uczciwa.

– No to nie o niego mi chodzi. Człowiek, którego szukam, zjadłby na raz dwóch takich jak ty, Lefty.

– A znamię? Na pewno miał je na ramieniu, Donnegan.

– Wielkie nieba! – szepnął Donnegan.

– Co jest?

– Rusty Dick – odezwał się Donnegan zduszonym głosem. – Tak, to musiał być on.

– Jasne, że był. Co miałeś do niego?

¹ *Homerycki śmiech* – śmiech niepoohamowany, nagły i szczery; w *Iliadzie* Homer wspomina o nieugaszonym śmiechu bogów, a w *Odysei* o śmiechu zalotników Penelopy.

– Chodziło o... krew. Napsuł mi krwi – wyjąkał Donnegan.

Jego głos zmienił się w tak dziwny sposób, że Lefty bezwiednie aż skurczył się w sobie.

– Zabiłeś Rusty'ego?

– Zapytaj kogoś z chłopaków. Ale tak między nami, zgubiła go woda. Ja tylko dokończyłem robotę. Wszyscy byli zdziwieni, że to nie bimber go zabił.

Pociąg wyjechał już spomiędzy wysokich gór i teraz sunął przez okolicę pokrytą rozrzuconymi pagórkami. Zwolnił przed stromym wzniesieniem – szyny zabrzęczały, a wagon wypełniła atmosfera niepewności.

– Ej! – krzyknął nagle Lefty. – Ty głupcze, za chwilę wypadniesz!

Wyciągnął nawet rękę, aby podtrzymać chwiejącą się postać, ale Donnegan runął prosto w ciemność nocy. Lefty wyrzwał na zewnątrz i wyciągając szyję badał okolice torów, ale w tej samej chwili lokomotywa dojechała na szczyt wzniesienia i cały pociąg popędził przed siebie w dół.

– W sumie – wymruczał Lefty Joe – to cały Donnegan. Nienawidził człowieka tak bardzo, że nie miał już po co żyć, kiedy się dowiedział, że tamten kopnął w kalendarz. W każdym razie mam nadzieję, że się już więcej nie spotkamy.



Rozdział V

Donnegan wyskoczył z pociągu nie zahaczając o tory, lecz wpadając niemal po kolana w przywiany piach. Gdyby nie to, mógłby w tej brawurowej akcji połamać sobie nogi. W wyniku upadku wykonał kilka koziołków i gdy się już pozbierał, mijał go właśnie ostatni wagon pociągu. Donnegan patrzył jak maleje w oddali, a kiedy tylne czerwone światełko zamieniło się w niewyraźny punkcik daleko na torze, odwrócił się i ruszył przez rozpościerający się przed nim rozległy krajobraz.

Góry były po prawej stronie, niezbyt daleko, ale schowane w cieniu sprawiały wrażenie oddalonych o wiele mil. Podobnie jak wszystkie wielkie, nie w pełni widoczne kształty, zdawały się kroczyć w jego kierunku. Poza nimi otaczał go pusty, pofałdowany teren. Linia horyzontu jak okiem sięgnąć była niczym niezakłócona, nie rosły tam prawie żadne drzewa. Donnegan po chwili namysłu przypomniał sobie, że musi to być okolica, w której hoduje się bydło – tyle zdradził mu hamulcowy podczas rozmowy, którą prowadzili tuż przed zmierzchem. Teraz była wczesna noc i zerwał się wiatr, wypełniając dolinę szybkim ruchem powietrza i gwałtownie spadającą temperaturą, Donnegan uznał więc, że potrzebuje schronienia. Jeśli było to konieczne, potrafił wytrzymać w najnędniejszych warunkach, ale wolał luksusowe. Zlustrował więc otoczenie z ponurym niezadowolaniem. Niemal zaczął żałować skoku z toczącego się ciężko pociągu towarowego. Decyzję o nim podyktowały dwa czynniki. Po pierwsze, kiedy odkrył, że długa droga, którą podąża, zdecydowanie nie przyniesie owoców, przepełniła go silna żądza odcięcia się od przeszłości i rozpoczęcia wszystkiego od

nowa. Po drugie, kiedy dowiedział się, że Rusty Dick zginął z ręki Joego, desperacko zapragnął udusić tego drugiego. Jeżeli kiedykolwiek ktoś zaryzykował własnym życiem, aby ustrzec się przed popełnieniem grzechu, to na pewno był nim Donnegan wyskakujący z pociągu po to, żeby nie zamordować drugiego człowieka.

Schylił się, żeby popatrzeć tuż ponad ziemią – to najlepsza taktyka rozglądania się w nocy i często można dzięki niej wypatrzyć światła na horyzoncie. Ale tym razem nie zobaczył niczego, co pomogłoby mu obrać właściwy kierunek. Zacisnął więc pas na wychudłej talii, mocno naciągnął kapelusz na czoło i ruszył prosto pod wiatr.

Nic nie mogłoby pokazać jego charakteru w wyraźniejszy sposób.

Kiedy masz wątpliwości co robić, idź pod wiatr.

Szedł żwawym krokiem, kołysząc się nieco na boki i okazało się, że przynajmniej tym razem jego strategia szybko przyniosła oczekiwany skutek. Wszedłszy na szczyt pierwszego większego wzniesienia, w kotlinie poniżej ujrzał zarys okazałego budynku. Kiedy się do niego zbliżał, wiatr przegnał mgłę odsłaniając gwiazdy i Donnegan zobaczył rozrzucone dalej inne zabudowania. Szopy, stodoły, zagrody – to było jakieś duże rancho¹. Mówi się, że jeśli chce się dowiedzieć czegoś o człowieku, trzeba obejrzeć jego książki, a jeśli chce się poznać ranczera, należy zajrzeć do jego stodoły. Donnegan odbił nieco w lewo i skierował się do największej ze stodół.

Wszedł przez duże przesuwne wrota, które były otwarte, spojrzął do góry i zobaczył gwiazdy przeświecające przez dziurę w dachu. Przez chwilę stał cicho, słuchając odgłosów wiatru

¹ *Rancho* – z hiszpańskiego *rancho*, w Ameryce duże gospodarstwo rolne, zajmujące się głównie hodowlą bydła.

panoszącego się w zniszczonym budynku. Dziwnym trafem sprawiło mu to przyjemność. Jego własne kłopoty i smutki tak bardzo dokuczały mu przez ostatnie godziny, że dowody na nieszczęście innych stanowiły swego rodzaju pocieszenie. Ale może oznaczały one również, że cała posiadłość jest opuszczona.

Wyszedł ze stodoły i podążył w stronę domu. Dopiero kiedy był bardzo blisko, zorientował się w jego rozmiarach. Była to jedna z tych wielkich, zbudowanych bez ładu i składu piętrowych konstrukcji, jakie lubili wznosić królowie bydła z poprzedniego pokolenia. Stojąc tuż obok, nie słyszał żadnego ze znajomych odgłosów wiatru przelatującego przez szczeliny i dziury w ścianach. Niezależnie od tego co spotkało stodołę, dom wciąż się trzymał, a pomruki wiatru muskały tylko węgły budynku.

Jednak ani na górze, ani na dole nie świeciło się światło. Donnegan podszedł do fasady domu. Nadal brakowało oznak życia. Stał u drzwi i głośno zastukał. Poruszył klamką i okazało się, że drzwi są zamknięte. Nikt nie pojawił się, żeby je otworzyć. Zastukał ponownie, przyłożył ucho do drzwi i z wnętrza dobiegły go jakieś odgłosy.

Nagle wiatr przybrał na sile i ten poryw ogłuszył Donnegan. Gdzieś nad nim otworzyła się i z powrotem zatrzasnęła okiennica. Uchylenie drzwi przyjął więc z wielkim zaskoczeniem. Wnętrze holu oświetlał przyćmiony blask, którego źródła nie potrafił zlokalizować. Drzwi rozwarły się jedynie na kilka cali i Donnegan ujrzał parę starych, przenikliwych oczu połyskujących w jego stronę. Poza tym nie widział nic.

– Kim pan jest? – zapytał kobiecy głos. – I czego pan chce?

– Jestem tu obcy i potrzebuję czegoś do jedzenia i miejsca do spania. Ten dom wygląda na taki, w którym mogą być wolne pokoje.

– Skąd pan przybywa?

– Stamtąd – opowiedział Donnegan, wspomagając się wystarczająco nieokreślonym gestem.

– Jak się pan nazywa?

– Donnegan.

– Nie znam pana. Proszę stąd odejść, panie Donnegan!

Wetknął stopę w szparę zamykających się drzwi.

– Dokąd mam odejść? – nalegał.

Na to głos kobiety uniósł się do wyższego tonu i zabrzmiała w nim piskliwa wściekłość.

– Bo obudzę cały dom!

– Proszę to zrobić. Niech pani zawoła gospodarza. Z nim łatwiej załatwię sprawę niż z panią. Ale nie odejdę tak po prostu. Jeżeli możecie mnie nakarmić, zapłacę za to, co zjem.

Odpowiedziało mu przenikliwe gdakanie – nie mógł rozróżnić słów. A ponieważ cierpliwość nie była jego główną zaletą, złapał za klamkę w drzwiach i z rozmysłem otworzył je szeroko.

Stojąc teraz w holu i powoli zamykając za sobą drzwi, dostrzegł, że właścicielka starych przenikliwych oczu cofa się w stronę schodów. Wyraźnie ogromnie się bała, lecz w sposobie, w jaki wciąż bezgłośnie poruszała ustami, czaiła się jakaś wielka wrogość. Oddalała się, na wpół odwrócona do niego plecami, ale wyglądało na to, że w każdej chwili może z powrotem stanąć z nim twarzą w twarz i skoczyć mu do oczu. Drzwi się zamknęły, nie słychać już było wiatru i Donnegan opowiadał dziwaczne uczucie – wydawało mu się, że jest w pułapce.

– Teraz niech pani zawoła gospodarza – powtórzył. – Zobaczmy, czy z nim uda mi się porozumieć.

– Jesliby przyszedł, poradziłby sobie z panem w try miga – odparła. Wybuchnęła piskliwym śmiechem i Donnegan pomy-

ślał, że dotąd nie widział jeszcze tak brzydkiej twarzy. – Jeśliby przyszedł – ciągnęła – gorzko by pan pożałował.

– Więc w takim razie porozmawiam z panią. Nie proszę o jałmużnę. Chcę zapłacić za to, co dostanę.

– To nie hotel. Niech pan wraca na drogę. Do miasta jest niecałe osiem mil.

– Osiem mil!

– To żadna jazda.

– Faktycznie żadna, jeśli ma się na czym jechać.

– Nie ma pan konia?

– Nie.

– To jak pan się tu dostał?

– Piechotą.

Zwiększyło to jej podejrzenia, zwiększyło również strach. Postawiła stopę na najniższym stopniu schodów.

– Niech pan już idzie, panie Donnegally, czy jak się tam pan dziwnie nazywa. Tu nic pan nie dostanie. Co właściwie pana tu...

Na górze zamknęły się drzwi, a podłoga rozbrzmiała cichym odgłosem lekkich kroków. Donnegan, postawiony w stan czujności przez dziwną atmosferę panującą w tym domu, cofnął się o krok, znajdując osłonę dla pleców w postaci ściany. Zauważył, że kroki są szybkie i lekkie, i przygotowując się na spotkanie jakiegoś wymoczka – a takich najbardziej się obawiał – zerkał kątem oka na starą kobietę stojącą przy wejściu na schody i nieprzerwanie obserwował cienie na ich szczycie.

Z ciemności wyłoniła się stopa i nie była to nawet stopa chłopca, ale małego dziecka. Szok tym wywołany sprawił, że Donnegan na chwilę zapomniał o ostrożności i w tej właśnie chwili postać pojawiła się w zasięgu światła. Było dość nędzne, ponieważ pochodziło z kopcącej lampy trzymanej przez

starą jędzę. Kiedy unosiła i opuszczała rękę, płomień podskakiwał i przygasał wypełniając sien cieniami. Zduszone światło lampy sprawiało, że sien nabierała pewnej nieokreślonej godności – była wysoka, szeroka i miała wyważone proporcje, ale gdy płomień się wznosił, Donnegan widział połamane słupki balustrady, wyświechtany dywan z dawno już wytartym wzorem, miejscami przegniłą, miejscami odchodzącą od ścian tapetę, zwisającą tu i ówdzie w szorstkich strzępach, a na suficie nieregularny ślad znaczący miejsce, w którym odpadł kawałek tynku odsłaniając deski za nim. Na dźwięk kroków dziewczyny, stara kobieta odwróciła się, płomień wystrzelił w górę i Donnegan mógł zobaczyć nowo przybyłą bardzo wyraźnie.

Raz już jego serce przebudziło się podobnie jak teraz. Wówczas nastąpiło to pod sam koniec bardzo długiego wieczora spędzonego przy butelce i Donnegan, obudzony z pijackiego snu, powlókł się do okna. Wychylił się, żeby ostudzić rozgrzaną twarz świeżym powiewem nocnego powietrza, spojrzął w górę i zobaczył białą tarczę księżycy sunącą w górę po niebie. Ogarnęło go nagle poczucie beznadziei i nienawiści do miasta, i zdał sobie sprawę z mroku wypełniającego jego życie, a kiedy odwrócił się od okna, był już trzeźwy. Tak samo czuł się teraz wpatrując się w dziewczynę. Jedną ręką przytrzymała na piersi poły otulającego ją szala, drugą oparła na poręczy. Ujrzał stopę zawieszoną nad kolejnym stopniem, tak jakby zatrzymał ją strach wywołany jego widokiem. Nieszczęsnej duszy Donnegana dziewczyna wydała się uosobieniem wszystkiego co piękne, młode i czyste, a okalające jej twarz włosy – w kolorze starego złota tam, gdzie padał na nie cień i bladozłote w świetle lampy – były dla Donnegana niczym aureola cudownego blasku.

Ta krótka chwila zawieszenia była, w istocie, jednocześnie wspaniała i straszna. Bo oto Donnegan, który do tej pory przeszedł przez życie patrząc na innych albo z szyderstwem, albo z nienawiścią, który używał dłoni właściwie tylko po to aby zaciskać je w pięści, Donnegan, który, z tego co wiadomo, zawsze był sam, a od świata oczekiwał działania, a nie życzliwości, ten sam Donnegan stał teraz oparty plecami o ścianę i w myślach opowiadał młodej dziewczynie historię swego zbłąkanego życia.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!